

1935
12 MAJA
1936



PODCHORAŻY



PODCHORAŻY
ORGAN SZKÓŁ PODCHORAŻYCH
NUMER 16 12 MAJA 1936 R. ROK V





* * *

Rok temu, w pogodny, wiosenny wieczór majowy w białych murach Belwederu rozegrała się najboleśniej dla serc polskich na przestrzeni wieków — tragedia. Sterane wielkim wysiłkiem dziesiątków lat ciało nie mogło już podążyć za wiecznie żywotnymi siłami ducha. Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył...

Bolesnym faktem Swej śmierci zamknął długi i jakże piękny swem bohaterstwem i wielkością, okres naszej historii. On bowiem na przestrzeni lat trzydziestu genjuszem Swego umysłu i żelaznym wysiłkiem woli tworzył i kształtował historję Polski Walczącej. Z Jego imieniem nierozdzielnie związane są w mrokach konspiracji powstające idee wyzwolenia Ojczyzny, z Jego woli powstają pierwsze szeregi regularnego wojska polskiego, Jego talentom wodzowskim armja nasza zawdzięcza dumną chwałę i nieśmiertelne laury zwycięstw, Jego kierownictwo i wyjątkowe cechy wielkiego męża stanu zapewniły Polsce trwałą rozwój wewnętrzny, siłę i odzyskanie odpowiadającego Jej znaczeniu stanowiska w życiu międzynarodowym.

Przed rokiem, w powszechnym smutku i głębokiej żałobie, naród złożył doczesne szczątki Wielkiego Marszałka w podziemiach królewskich na Wawelu. Dziś, w pierwszą rocznicę śmierci, w ukochanym Jego mieście odbywa się ostatni akt uroczystości żałobnych — złożenie serca Józefa Piłsudskiego na cmentarzu na Rossie.

Serce Wodza — ten głęboki symbol Jego uczuć, spocznie przy prochach ukochanej poprzez całe życie Matki i wśród poległych w walkach o Wilno żołnierzy, żołnierzy kochanych przez Wodza i zawsze dla okazania Mu swych serc przywiązania gotowych do największych ofiar osobistych i poświęceń.

Dwa wielkie, najpiękniejsze ze wszystkich i jakże szlachetne uczucia zajmowały pierwsze miejsce w sercu Józefa Piłsudskiego: synowska miłość do Matki i miłość do Polski, której od zarania swych dni do ostatniego tchnienia całe Swe życie poświęcił. Uczucia te znajdują wieczyste swe zewnętrzne utrwalenie przez złożenie serca Wielkiego Syna na trumnie Matki na cmentarzu, gdzie snem wiecznym spoczywają zwycięscy żołnierze wskrzyszanej przez Józefa Piłsudskiego armji polskiej.

Przy biciu dzwonów, przy głuchym huku armat poraz ostatni odbędzie serce Wielkiego Marszałka wędrówkę ulicami Wilna. Poniosą je żołnierze, których piersi zdobią krzyże męstwa i chwały wojennej, zdobyte w walkach o Polskę pod komendą Wodza. I gdy tak kroczyć będzie ten smutkiem owiany pochód cała Polska w skupieniu i powadze składać będzie najwyższy hołd Temu — którego sercu i czynom zawdzięcza swe wyzwolenie. Cała Polska przeżywać będzie bolesne chwile nigdy niewygastej żałoby i rozpamiętywać wielkość Jego życia i dzieła niezawodną zbawczą wartość Jego wskazań, niedościgniony ideał świetlanego przykładu miłości Ojczyzny.

Niech więc w tym dniu głębokiego smutku serca nasze zapłoną ogniem tego uczucia, którego siedliskiem było Wielkie, Gorejące Serce, co spocznie na zawsze w cieniu czterech samotnych sosen na wzgórzach Rossy.

Niech dzień ten będzie dla nas po wieczne czasy dniem rozpamiętywania uczuć i wskazań Józefa Piłsudskiego, których możliwość realizowania w naszym życiu codziennym powinna być dla nas najświętszym nakazem i najwyższym honorem.

Umiejmy czcić i kochać Wielkość!



W PIERWSZĄ, ŻAŁOBNĄ ROCZNICĘ

12

maja 1935 roku... W majową cichą noc zostaliśmy wstrząśnięci tragiczną wiadomością *Marszałek Piłsudski zmarł w Belwederze!*

Z okien Belwederu patrzyła na nas marsowa twarz Wodza.

Nazajutrz w jasny poranek, taki sam jak dzisiejszy jaskrawość słupów tłumili czarne obwódki nekrologów. Urzędy i domy zasłaniały krepą spowite sztandary. Na podstawie depesz prasowych i meldunków radjowych braliśmy udział w ostatnim cierpieniu i zgonie Oswobodziciela Polski. Potem szliśmy za jego trumną do Katedry Świętojańskiej i do podziemi Wawelskich. Wielu z nas danem było brać osobisty udział w uroczystościach pogrzebowych. Dostąpiliśmy zaszczytu uczestniczenia w historycznym fakcie odrodzonego Państwa, w uroczystości pożegnania Wodza przez armję — w Ostatniej Defiladzie Marszałka Piłsudskiego.

Przed wyniosłą na armacie wieszoną trumną Wodza, okrytą biało-czerwonym sztandarem, prze-defilowała cała armja polska, cała potężna siła militarna jednego z czołowych mocarstw europejskich. Świeciły się oczy perłami żalu, lecz dumnie były serca zebranych tłumów na widok falującej rzeki żołnierzy wszystkich formacji i pułków. I myśli wszystkich tuliły się do stóp Tego, który tę armję stworzył i zwyciężać nauczył. Wśród bicia dzwonów całej Warszawy, przy smętnych dźwiękach Mazurka żegnał naród prochy Wodza.

W Krakowie ustawiono smukłe pilony — całe w czerni. Śpiżowy głos Zygmunta i 101 strzałów armatnich oznajmiało światu, że do siedzib królewskich wniesiono szczątki największego mocarza czynu, jakiego zna historia Polski. Zbity w masie patrzyłem wokoło. W oczach starych żołnierzy, zasłużonych dostojników lśniły łzy. Synowie Polski szlochali po stracie wieloletniego Przewodnika, Wychowawcy i Hetmana.

Od smutnych dni majowych minął rok. W naszym młodym życiu jest to szmat czasu. W tym okresie pożegnaliśmy się z życiem cywilnym, włożyliśmy najszczytniejszy strój Rzeczypospolitej — mundur żołnierski, ślubowaliśmy na honor Armji Polskiej. Słowem przekształciliśmy się duchowo i ze-

wnętrnie na członków jednego potężnego zakonu rycerskiego.

Kiedy zastanowimy się nad więzami jakie łączą z Nieśmiertelnym Duchem Wodza nas — skromnych, podchorążych, to stwierdzimy, że z życia Marszałka czerpać możemy *najprzykładniej — cnoty wojskowe*. Porywy szlachetnego serca, obowiązkowy, pełen samozaparcia charakter i heroizm budzą w nas miłość i oddanie. Z podłoża sentymentów przejść musimy do czynów. Poznawszy namacalnie potęgę i rozwój naszych sił zbrojnych nie pozwolimy, by ktoś paczył lub krzywił tendencyjnie obraz wyzwolonej Ojczyzny. Zaskorupiałym w subiektywizmie mrzonkarzom damy należytą, męską odprawę.

Z obrotem wskazówki zegara oddaliśmy się coraz bardziej od chwili zgonu, odchodzimy w przyszłość.

W Europie słychać *rytm nowych dziejów*. Miesiące mijają za miesiącami. To co było wczoraj modne i popularne dziś jest nieaktualne. Ale *bulawa marszałkowska* nadal sprawuje i sprawować będzie *rząd dusz nad Polską*. Genjalne myśli Marszałka zakute w dzieła pisarskie lub przelane do mózgow najbliźszych współpracowników — są świeże i młode jak oddech obecnej wiosny.

Wielki Marszałek jak i jego godny następca *gen. dyw. Rydz-Śmigły*, dążą do stworzenia nowego typu obywatela. Typ ten wolny od obcych „sznytów“ nie mógł wyrosnąć w pokoleniu, które podzieliło się na obozy, odgraniczyło się linjami partyjnicstwa. Nowy obywatel kształtuje się w naszym pokoleniu, posiadającym tylko jednego Wodza i jeden cel: *służba Ojczyźnie*. Urabia go armja skonstruowana według intencji Naczelnika Państwa.

Z Podchorążówek Rezerwy odpływa rokrocznie w świat inteligencji kilkudziesięcna rzesza wychowanych wszechstronnie i wyszkolonych wojskowych obywateli, dojrzałych do pracy dla Państwa i dalszego krzewienia zasad ofiarnej i nieustraszonej służby narodowej.

Młodzież, przy odpowiedniej współpracy, nastawieniu i rozwinięciu energii może dokonać pożytecznej roboty przerobienia umysłów społecznych na charaktery myślące kategorjami wojskowymi. Ruszyć mogą z odrętwienia marnującą się w kry-



Warta honorowa szwoleżerów przy urnie z sercem Wodza w Belwederze.

zysie wieś polską, słowem i przykładem obudzić senną atmosferę miast i miasteczek.

Przy solidarnym, zorganizowanym i przemyślanym wysiłku *młoda armja rezerwistów*, z podniesionym czołem przebijająca się przez życie, wypracować może dzieło cenne i pozytywne, dzieło będące realizacją Ducha Józefa Piłsudskiego.

Podczas uroczystości żałobnych w dniach 12 maja serce nasze zwrócimy *ku Wilnu* a wzrok spoglądać będzie na *majestatyczny Kraków*. Wczytując się w telegramy prasowe znów obcować będziemy z genialną postacią Budowniczego Państwa. Z głośnika radiowego usłyszymy cytaty z mów

Marszałka i wyjątki z Jego prac publicystycznych.

Natomiast utrwalenie chwały imienia Marszałka, mierzyć musimy *prawdziwie głębokimi czynami* a nie tylko obrzędami.

Koledzy! Ślubujemy, że po opuszczeniu szeregów armji nie stopimy się w morzu ludzkim. Wytwardzą i systematyczną pracą rzeźbić będziemy *typ człowieka* na podstawie tych wskazań jakie wlał w usta najbliższych współtowarzyszy Wielki Wódz i Bohater.

Takie nasuwają się refleksje w pierwszą, nad wyraz bolesną rocznicę.

st. strz. z cenz. B. Nuszkowski

Bydgoszcz.



UMARŁ CIAŁEM...

*Błyskiem Twych oczu szarych
piorun rzuciłeś Wodzu w pierś śpiącego ludu,
by zerwał się, by ożył, by w mgle szarej świtu
dokonał cudu!
Myśl swą w stal miecza zakłąłeś i rozkazów słowa.
Słabe dusze otuchą, zapalem karmiła Twa mowa.
Gestem, co Ci odrzucił z ramion burkę szarą
wskazałeś nam cel życia — Polskę, —
byśmy z wiarą,
szli w walkę — na zwycięstwo!*

S.P.P. Różan

*Dzisiaj, gdy serca nasze żalobą skruszone
z jękiem dzwonu Zygmunta w Twą zwracamy stronę
myśli, uczucia, radości, cierpienia i skargi.
Hymn chwały Twojej szepcą cicho nasze wargi.
Odszedłeś,
lecz wiesz Wodzu, żeśmy nie zostali sami
o małych sercach, bohaterstwie małym.
Ty w nas żyjesz! Ty wielki!
Umarłeś dla nas tylko ciałem...*

strz. pchor. Nowak Witold



W podziemiach krypty wawelskiej.

Dr. F. SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI
generał dywizji

ŚMIERĆ KOMENDANTA*)

Liczyliśmy dni i godziny życia Komendanta od chwili wydania wyroku śmierci przez wezwanego na Jego rozkaz z Wiednia profesora Wenckenbacha.

Straszne rozpoznanie raka wątroby wykluczało wszelką pomoc lekarską, mającą na celu choćby tylko przedłużenie bytowania Komendanta.

Na Wielkiego Człowieka przyszła choroba tak potężna, że medycyna współczesna jest wobec niej bezsilna. Nie mogliśmy więc mieć żadnych złudzeń.

Śmierć Komendanta, straszna myśl o niej, przygniotła nasze serca na długi miesiąc przed Jego zgonem — ostatni miesiąc Jego życia.

A jednak, nie mogąc pogodzić się z myślą o stracie Komendanta, codziennie przerzucaliśmy się od ogromu rozpacz do znikomego wątku nadziei.

Nadzieja ta malała z dnia na dzień, aż zgasła w naszych sercach na kilkadziesiąt godzin przed ostatnim tchnieniem Marszałka Polski.

W sobotę, 11 maja, wystąpił krwotok ustami, który bardzo osłabił Komendanta.

W niedzielę, 12 maja, o godzinie szóstej popołudniu otrzymałem telefon od generała Roupperta z Belwederu: „Jest źle, tętno słabe, bardzo przyspieszone“.

Ulice, któremi jechałem do Belwederu były ożywione, jak zwykle w niedzielne popołudnie.

Gwałtowne zmiany życia Polski, które odbywały się w tej chwili, nie wydostały się jeszcze z sypialni Pierwszego Marszałka.

Z okien pałacu były smugi światła, jak tego wieczora, gdy pierwszy raz był u Komendanta w Belwederze.

Teraz szedłem do Niego — raz ostatni.

W adjutanturze, prócz oficerów służbowych, zastałem generała Roupperta i Wieniawę.

Udzielają mi krótkich wyjaśnień. Tętno koło stu, słabe.

Komendant przytomny, błogosławił ręką dzieci, protestował w czasie uklęcia ramienia przez doktora przy zastrzyku do żyły środka nasercowego.

Doktor Stefanowski pojechał po księdza Kornilowicza i ma wrócić niedługo.

Po tej krótkiej rozmowie — Wieniawa z Rouppertem odchodzą do Komendanta. Ja nie śmiem

wejść by Go nie rozgniewać zjawieniem się bez rozkazu.

Telefonuję do premiera Sławka, do generała Kasprzyckiego i polecam zawiadomić, będącego poza Warszawą, b. premiera Prystora.

Premier Sławek zjawia się na chwilę, i po zorientowaniu się w rozpaczliwej sytuacji, odjeżdża wkrótce do Prezydium Rady Ministrów.

Przybywa generał Kasprzycki, a wkrótce za nim doktor Stefanowski z księdzem Kornilowiczem.

Ksiądz z doktorem wchodzi do sypialni Komendanta, a za chwilę generał Rouppert wzywa mnie, że można już wejść.

Wchodzę do narożnego salonu, w którym tyle razy meldowałem się Komendantowi.

Teraz, niestety, można już wejść bez meldowania się. Stoję obok generałów Kasprzyckiego i Wieniawy.

Przed nami na łożu, leży Komendant z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając.

Pani Marszałkowa z córkami klęczy przy łóżku, trzymając rękę umierającego męża. W nogach łóżka stoi modlący się ksiądz Kornilowicz. Doktor Mozołowski, pochylony po prawej stronie łóżka, obserwuje twarz Komendanta.

Komendant ma oczy ciągle zamknięte. Twarz Jego wychudła w czasie choroby, jest piękna i spokojna.

Mijają długie chwile samotnego świszczącego oddechu Komendanta i modłów księdza, udzielającego Ostatniego Namaszczenia.

Wszystko nagle zatrzymuje się w biegu naszych myśli.

Pozostaje — jedna straszna, że nic już Komendantowi pomóc nie możemy.

W pewnym momencie Komendant zachłystuje się i oddech Jego ustaje. Doktor Mozołowski robi ruch, jakby chciał jeszcze Komendanta ratować, ale za chwilę ręce jego opadają bezsilnie.

To już śmierć.

Klękamy wszyscy. Tylko adjutant, mający służbę, stoi na baczność. Jest godzina 8,45 wieczorem, gdy przestaje bić serce Pierwszego Marszałka Polski. Za chwilę generał Kasprzycki telefonuje do Premiera o zgonie Komendanta.

W adjutanturze redagujemy komunikat do prasy o śmierci Komendanta.



Umarł o godzinie 8,45 wieczorem, 12 maja 1935 roku, w trzecią niedzielę po Wielkiejnocy.

I nigdy już, żadna niedziela naszego życia nie będzie tak wesoła i beztraska jak za Jego pobytu z nami. Przeżyliśmy z Nim, słuchaliśmy Go wiernie

przeszło dwadzieścia lat. A teraz już będziemy z Nim jeszcze tylko w czasie pogrzebu, który skończy się przecież za dni parę, kilka.

Wtedy zostanie nam już tylko — życie bez Niego.



Płyta z czarnego granitu na grobowcu na Rossie.

POGRZEB PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI

Trzy dni leży Komendant na marach w obitej czernią sali Belwederu, otoczony przez posterunki wiernych żołnierzy, nieruchomości, tak samo jak On.

Meldujemy się Mu codziennie, by zobaczyć Go parę razy w sali, gdzie widywaliśmy Go za życia.

W tej pókolistej wnęce, gdzie teraz leży Wielki Zmarły, siadywał On często za stołem w czasie większych przyjęć.

Tu Go widziałem pierwszy raz, po powrocie Jego z Magdeburga, już w Polsce Niepodległej, przed szesnastu latami.

Mija kilka dni niezapomnianych smutku i żalu.

Wreszcie — nadchodzi dzień, gdy już Komendant musi wyjść po raz ostatni z Belwederu, który tak zrósł się z Jego osobą.

W godzinach popołudniowych, dnia 15 maja, zbieramy się na dziedzińcu: rząd, sejm, senat i żołnierze — ustawiliśmy się po obydwu stronach głównego przejścia.

Przez chwilę mamy złudzenie, że to zbliża się wieczór przed Imieninami Komendanta, albo 10 listopada, gdy schodzimy się co roku, by złożyć życzenia, lub chociaż zdaleka zobaczyć Komendanta. Niezawsze wychodził do nas na dziedzińiec, szczególnie w latach ostatnich.

Tym razem, niestety, wyjdzie napewno z pałacu i zostanie otoczony naszym tłumem żołnierskim.

Nie odejdziemy z przed Belwederu sami, nad naszymi głowami wyniesiemy Komendanta.

*) Dwa poniższe fragmenty zamieszczamy za zezwoleniem Autora z książki Jego „Strzępy Meldunków“.



Przybywa Pan Prezydent Rzeczypospolitej w towarzystwie Premiera Ślaska i Generała Śmigłego. Wchodzą do wnętrza Belwederu.

Na dziedzińcu staje tymczasem długi szpaler duchowieństwa w oczekiwaniu na początek ceremonii pogrzebowej.

Przy ostatnich blaskach dnia wyptywa spośród filarów ganku pałacu wielka, okryta sztandarem trumna.

Niosą ją najstarsi generałowie. W pierwszej parze generałowie Śmigły i Sosnkowski.

W połowie dziedzińca trumna się zatrzymuje i bierzemy ją na ramiona. Niosę z admirałem Świrskim w drugiej parze.

We wrotach dziedzińca całą trumnę w miejscu, gdzie leżą wewnątrz nogi Komendanta.

Przed Belwederem stoi działo, powożone przez oficerów artylerji konnej.

Już trumnę stawiamy na lawecie.

Generał Śmigły sprawdza, czy trumna dobrze przymocowana. Panuje lęk ogólny wszystkich wokół, by ta właśnie trumna nie spadła w czasie marszu do Katedry.

Za trumną, obok Pani Marszałkowej, staje Prezydent Rzeczypospolitej.

Czekamy dłuższą chwilę, poczem działo rusza z miejsca, kierując się w Aleje Ujazdowskie.

Teraz idziemy, prowadzeni przez generała Sosnkowskiego, oddzieleni od trumny grupą rządu, oraz delegacji Sejmu i Senatu.

Warszawa zamarta w strasznej ciszy, panującej od Belwederu aż do katedry.

Nie było żadnych zgrzytów w ponurym nastroju maszerującej kolumny pogrzebowej i stojących po bokach tłumów. Śmierć Komendanta zwyciężyła wszystkich i wszystko w Polsce.

Po paru godzinach marszu wzdłuż półciemnych ulic, dochodzimy do zalanego tłumem Placu Zamkowego i Katedry.

W kościele trumna wniesiona zostaje na podwyższenie. Widoczna jest dla wszystkich.

Komendant już wysoko, daleko od nas. Tu Go zostawiamy na dni kilka, by mogły Go pożegnać tłumy nawet tych, którzy nie widzieli Go nigdy za życia.

W dwa dni później, 17 maja, znów idziemy z Nim na pole rewji, już po raz ostatni z ostatnich...

Na zielonym kurhanie składają Go na działo i defilujemy przed Nim, żegnając Go ostatniem: „Na prawo patrz”!

Najprzód idą generałowie, prowadzeni przez Generalnego Inspektora Śmigłego, a później delegacje wojska — kompanje, szwadrony z generałem Dreszerem na czele.

Trwa to długa, przygniatająca chwila...

Defilada w ciszy — skończona. Odjechał już ostatni — generał Dreszer.

Grają — „Jeszcze Polska”...

Wchodzimy na kopiec, by zdjąć trumnę z lawety.

Gdy przenosiłem trumnę wraz z generałem Bukackim, ucałowałem ją znowu przez sztandar białoczerwony.

Teraz wszystko szybko się kończy...

Trumna wysoko już złożona na lufie polskiej haubicy, ustawionej na długiej platformie kolejowej. Kładą wieńce, zaciągają wartę honorową.

Potem ciągniemy platformę za długie liny, wolno ciągniemy aż do czekającej lokomotywy. To już wszystko cośmy mogli zrobić! Tu rozstajemy się z Komendantem.

— Uroczystość w Warszawie skończona — mówi do nas generał Śmigły.

Zrywa się ulewa z grzmotami.

Wszyscy jadą do Krakowa, ja zostaję w Warszawie.

Już Cię więcej nie zobaczę Komendancie, chyba tam, w krypcie.

Już Ci nie zamelduję: „Panie Marszałku”, gdy myśli krzyczą: „Obywatelu Komendancie...”

Pociąg rusza. Już za nim nie pójdę.

Komendancie...

Nie zmoknij Komendancie, tak łatwo się przeziębiasz.

Ale to... głupota!

Już pociąg idzie. Co powiedzieć Ci przy rozstaniu.

— — — — —
Ojciec nasz, który jesteś w Niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...
— — — — —

A jednak w sercu mem zostaniesz Komendancie, nie Ten, wieziony w trumnie na lawecie dział, ale Ten, który tysiące dział i miliony żołnierzy rzucał do boju o wielkość i życie Polski.



Mjr. MIECZYSLAW B. LEPECKI

WYJAZD DO SULEJÓWKA

Było to 6 kwietnia 1935 roku. Wstałem tego dnia wcześniej niż zwykle. Na dworze było pogodnie, słońce przecisnęło się przez drzewa Łazienek i zalało mój pokój wiosną. Wstałem więc wcześniej i pocichu, na palcach, zajrzałem do sypialni Marszałka Piłsudskiego. Szczególne, specjalnie sporządzone rolety nie przepuszczały ani jednego promienia światła; w sypialni panowała jeszcze noc. Nadstawiłem ucha. Marszałek oddychał nierówno, niespokojnie. Serce ścisnął mi niepokój, coraz częściej zagładający do naszych obszernych komnat.

Podniosłem do swego pokoju i przycisnąłem guzik dzwonka elektrycznego. Po chwili wszedł woźny... Melessa z wyczyszczonymi trzewikami Pana Marszałka i gazetami w rękę. Jeszcze nie zdążył przynieść mi herbaty, gdy dosłyszałem, że Marszałek porusza się w łóżku, pokasłuje i nareszcie woła: — Lepecki!

Wchodzę szybko, mówię: „dzień dobry Panu Marszałkowi”. Marszałek przeciąga się w łóżku, ziewa, odpowiada: „dzień dobry” i dodaje: „no, zaczynam dzień”.

Podnoszę rolety. Wielką sypialnię zalewa prawdziwy potop światła i słońca. Marszałek mruży oczy, uśmiecha się, najwidoczniej jest zadowolony z pogody. „Popatrzcie na termometr” — mówi — „może już nam się wiosna ustali”. Jest 10 stopni ciepła. Marszałek kiwa głową z zadowoleniem.

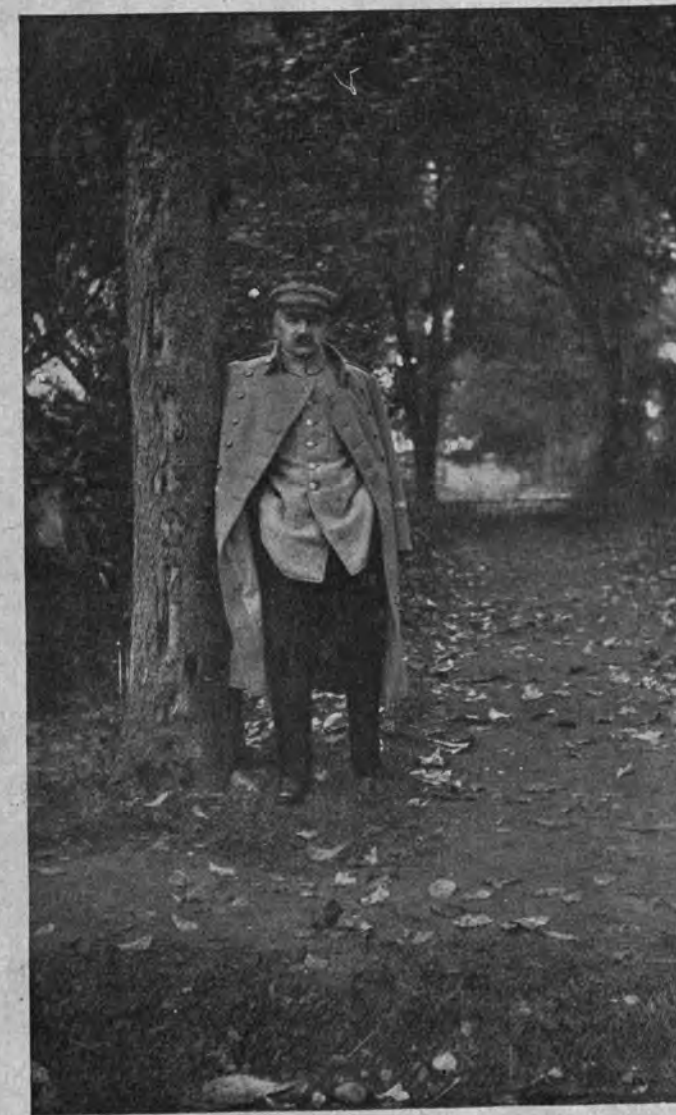
niem. „W południe” — mówi — „będziemy mieli w słońcu ze 20 stopni. Gdyby tak było, pojedę na wieś”.

W pełnym świetle słonecznym, padającym na pokój, Marszałek wygląda źle. Cere ma szarą, policzki wpadnięte i bardzo chudą szyję. Jest przecież chory. Jednak nie leży. Codziennie rano wstaje, ubiera się w swój zwykły, szary strój, zasiada do stołu pracy, przyjmuje, wydaje polecenia. Jego wychudzone ręce trzymają wciąż jeszcze mocno ster władzy. Jeden ruch tych drżących rąk, jedno drgnienie tych coraz częściej boleścią wykrzywionych ust — jest rozkazem, wypełnionym ślepo, bez chwili zastanowienia.

Marszałek wypił w łóżku herbatę, czytając gazetę, potem powoli, z trudem, zaczął się ubierać.

Ja tymczasem za-telefonowałem do garażu, aby samochód był gotów, upewniłem się, czy w Sulejówku napalono w piecach i powiadomiłem szefa ochrony, kpt. Ziemiańskiego, o zamierzonym wyjeździe.

O godz. 13-ej termometr wskazywał w słońcu 21 stopni ciepła. Przeszłoroczna wiosna była, jak wiadomo, ciepła i wczesna. Wyjazd więc na wycieczkę był prawie pewny. Poszedłem do pokoju Marszałka, aby zapytać Go o dyspozycje. Układał właśnie pasjansa. Mały stolik, przy którym zwykle siadywał, zarzucony do połowy papie-



Przed laty, na samotnej przechadzce



rami, pokrywały szeregi starannie, równo poukładanych kart. Na głos moich kroków, Marszałek rzucił, nie odrywając spojrzenia od kolorowych obrazków:

— A co?

— O Sulejówkę chciałem zapytać, Panie Marszałku.

Marszałek nie odpowiedział od razu. Przekładał karty w milczeniu, potem mrucnął napół do mnie, napół do siebie: „W piramidce zostało dwie karty, wcale nieźle, wcale nieźle. Nie narzekam”. I wreszcie, po chwili, jakby sobie mnie dopiero przypominając:

— Więc jednak jest 20 stopni?

Potwierdziłem.

— No, to ja jadę. Żeby tylko znowu nie przysły te durne mdłości...

Mimowoli wyrwało mi się z ust:

— Cały ranek przeszedł jakoś dobrze, chyba dalej źle nie będzie.

Marszałek namarszczył się:

— Znowu mnie pocieszacie. Obejdę się bez waszych pociech. Ja nie jestem moją panią, ani Jagodą, ani Waudką. Je sobie pocieszajcie, ile chcecie, ale nie mnie. Ja pociech nie potrzebuję.

Już jednak na samo wspomnienie „swoich pań”, jak zwykli nazywać żonę i córki, spęzła chmura z czoła Marszałkowego. Uśmiechnął się.

— Jedziemy — rzekł.

Wsiedliśmy do samochodu, kierowanego od szeregu lat przez szofera Malinowskiego, i ruszyliśmy. Siedziałem, jak zwykle, obok Marszałka i starałem się cośkolwiek mówić, aby odrywać Go od ponurych myśli.

Jechaliśmy Aleją Szucha, potem Aleją Ujazdowską. Na Nowym-Świecie zwróciłem uwagę Marszałka, że kobiety już powkładały na siebie wiosenne ubrania. Marszałek roześmiał się.

— No, teraz napewno będzie już wiosna.

I, swoim zwyczajem, dodał nieoczekiwaną zupełnie refleksję:

— Co to się teraz musi dziać w duszach tych kobiet, jak to one teraz muszą kłopotać się i starać, aby przedzierzgnąć się w takie wiosenne...

Przy rogu Alei 3-go Maja zatrzymaliśmy się, ponieważ ruch szedł właśnie w przeciwnym kierunku. Przy przystanku tramwajowym stała gromadka ludzi. Na widok Marszałka Piłsudskiego

w samochodzie gromadka zafalowała, ożywiła się. Mężczyźni zerwali czapki z głowy i znieruchomieli, kobiety nieśmiało cisnęły się bliżej okien. Marszałek patrzył przed siebie i zdawał się nic nie widzieć, ale gdy nadszedł żołnierz i zasalutował, odpowiedział mu ukłonem wojskowym.

Ruszyliśmy dalej.

Przez Aleję 3 go maja i most Poniatowskiego przejechaliśmy, jak wiatr. Wisła była już wolna od kry, ale jeszcze gdzieś tam płynął zapóźniony kawałek lodu. Marszałka interesował zawsze stan rzek, przyglądał się więc Wiśle z zainteresowaniem.

— A to byłaby heca — rzekł — gdyby tak w tym roku jeszcze raz zamarzała.

— Eee, chyba tego nie będzie — wyraziłem wątpliwość.

No, no, no, nie wróćcie tak. W Polsce co do klimatu wiadomo tylko jedno i to niebardzo, że w lipcu i sierpniu nie będzie śniegu. Pozatem, wszystko możliwe.

Pędzimy długą ulicą Grochowską, mijamy Wawer i wpadamy na szosę. Pełno przy niej poukładanej w symetryczne sześciiany kostki kamiennej. Widać robotników, przyrządy, przygotowania.

— No, nareszcie, — mówię — będziemy mieli niezłą drogę do Sulejówki.

Marszałek przytakuje. „Piasecki stara się” — mówi.

Niestety, nie miał już Marszałek Piłsudski koryztać z dobrej drogi do swego dworku. Nawet ten ostatni raz jechał po wybojach i dziurach, przynoszących wielką ujmę powiatowi Warszawskiemu.

Przyjeżdżamy wreszcie do Sulejówki.

Marszałek wolnym krokiem, opierając się na lasce, udaje się do ogrodu. Mija dom i zatrzymuje się przy kępie krzaków. Pilnie ogląda pękające pączki liści, potem nachyla się i zrywa stokrotkę, nieśmiało zaszyta w trawie.

Marszałek nie lubił, aby w spacerach przeszkadzano Mu. Odsunąłem się tedy i poszedłem oglądać pasiekę, stojącą z drugiej strony domu.

Pszczoły już przebudziły się ze snu zimowego i gęsto krążyły koło uli. Patrząc na nie, przypomniałem sobie, że pewnego razu Marszałek opowiadał mi o tych pracowitych stworzonkach. Zdarzyło się to z okazji rozmowy o zawodności lub niezawodności instynktu u zwierząt i owadów. Marszałek



twierdził, że instynkt ten jest zawodny i na dowód przytoczył opowieść o pszczołach z Sulejówka.

— Pewnej zimy — mówił — około Nowego Roku, mieliśmy kilka dni pięknej, ciepłej, prawie wiosennej pogody, no i wyobraźcie sobie: pszczoły poczęły gromadnie opuszczać ule. Naturalnie w kilka dni później wymarły prawie doszczętnie. Ot, i macie niezawodny instynkt.

Po krótkiej chwili poszedłem zobaczyć, co robi Pan Marszałek. Szedł właśnie wolno po szarozielonym o tej porze trawniku.

— Dajcie tu fotel — rzekł, ujrawszy mnie — posiedzę sobie trochę w słońcu.

Przynieśliśmy z wachmistrem Kozera duży fotel i ustawiliśmy na wielkiej złotej plamie słonecznej. Marszałek siadł, przykrył nogi futrzanym pledem i przymknął oczy.

Tymczasem gdzieś z za horyzontu nadeszły białe chmury i poczęły przysłaniać słońce ruchliwą, przejrzystą zasłoną.

Przysiadłem obok Marszałka na stopniach werandy i patrzyłem sobie na Jego rycerski piękny profil. I znowu, już drugi raz tego dnia, sercem zatrzepotał mi niepokój.

Ogarnięty zgrozą, starałem się przepędzić najdalej od siebie natrętą myśl, powracając wciąż, niczem uprzykrzony owad.

Marszałek otworzył oczy.

— Jesteście tu? — Zapytał.

— Tak jest, Panie Marszałku.

— To dobrze, dziecko, że tu jesteście.

Marszałek milczał długo; wreszcie odezwał się temi słowami:

— Często teraz myślę o tej chwili przed śmiercią, gdy już nic nie będę odczuwał ze świata zewnętrznego, oprócz kolorów. Będą mi jeszcze żywo stały w oczach, chociaż sam... będę już u progu...

— Panie Marszałku! — prawie krzyknąłem i gardło ścisnęło mi się, jakby je kto omotał powrozem.

Marszałek nie zwrócił wcale uwagi na mój wykrzyknik.

— Ciekaw jestem — ciągnął dalej — tych kolorów. Ot, teraz, widzę przez powieki kolor różowy i niebieski. Skąd ten niebieski? To przecież kolor mojej kurtki.

Siedziałem, skulony na schodach werandy i zachłystywałem się zalem. Świat zszarzał mi, słońce przyblakło. Jakżeż żałośnie wyciągają się ku niebu rosochate ramiona sulejówkowskich sosen...

Marszałek poruszył się w fotelu i zwrócił głowę ku mnie:

— Te durne... — rzekł.

Zerwałem się na równe nogi.

— Niedobrze Panu Marszałkowi?

Marszałek kiwnął niedbale ręką.

— Już lepiej — rzekł.

I po chwili:

— Ja już tego roku nie przeżyję.

Wydusiłem z siebie lekceważący uśmiech, chociaż zamiast serca czułem w sobie bryłę lodu.

— Co też Pan Marszałek mówi!

Marszałek długo wzruszał ramionami i rozkładał ręce, jakby sam z sobą rozmawiając, poczem rzekł:

— Cóż wy chcecie, to przecież zwykła rzecz.

Coś we mnie zaskowytało, coś zatargało trzewiami, coś zmroziło krew... Jakżeż dumny jestem dzisiaj, że wówczas powiedziałem spokojnie:

— Zapewne to będzie ten pierwszy raz, gdy Pan Marszałek się omyli.

Marszałek począł znowu rozkładać ręce i ruszać ramionami.

— Że jesteście pyskacz — rzekł — wiem dobrze, nie potrzebujecie się tem chwalić.

Przed wsiadaniem do auta, Marszałek przystanął na chwilę, odwrócił się i patrzył na cichy, biały dworek, na zeschnięte dzikie wino, oplatające ganek, na kobierce trawników, na sosny...

Ruszamy.

Pan wachmistrz Kozera wypręży się, salutuje.





Mjr. pil. JERZY BAJAN

WSPOMNIENIA Z MOSZCZENICY

Nie było w Polsce już dawno imprezy, która by poruszyła tak bardzo całe społeczeństwo, jak po ostatnim zwycięstwie kpt. Żwirki i inż. Wigury, Challenge w r. 1934. Nic więc dziwnego, że Pan Marszałek interesował się specjalnie przebiegiem zawodów — wyznaczył nawet nagrodę swego Imienia, która została przez nas zdobyta. Podobno, jak nam mówiono w Moszczenicy, przy Codziennej Gazecie Porannej Pan Marszałek najpierw czytał wiadomości o Challenge'u — na drugim planie w tym czasie były wieści z Genewy.

A kiedy z trasy lotu okrężnego Challenge'u przychodziły sprzeczne wiadomości, Pan Marszałek wyraził się: „Oni jednak pewnością doleca, bo widać, że lecą z matematyczną dokładnością”.

Po powrocie do Krakowa wiadomem było już, że Pan Marszałek wyraził życzenie, by Mu przedstawiono załogę zwycięskiego samolotu; przedstawić miał nas d-ca 2 p. lotn. płk. Lewandowski. Rzecz prosta, że było to dla nas wielką niespodzianką — nie mogliśmy nawet myśleć o tem pomimo, iż przedtem już takie wieści krążyły.

Audjencję wyznaczono na godz. 12-tą w nie-

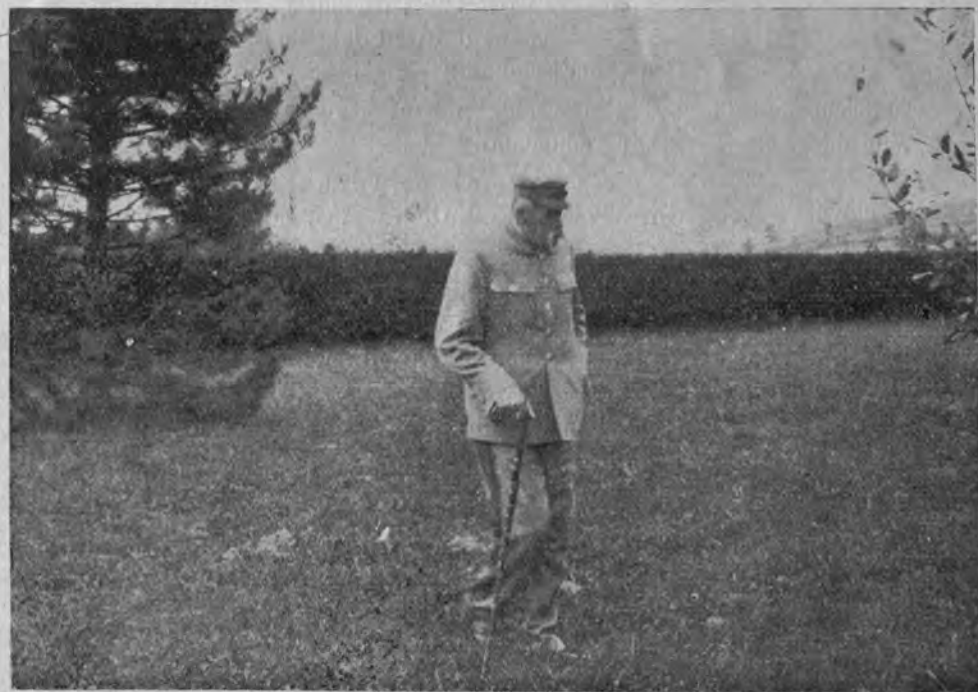
dziale, dnia 30-go września, w Moszczenicy, gdzie Pan Marszałek przebywał „na urlopie” w majątku państwa Kepińskich, którzy dworek swój na ten cel odstąpili. O godzinie 7-ej tego dnia zebrał się w kasynie i 2-ma samochodami z mjr. S. wyjechaliśmy w stronę Żywca. Była pogoda, błękitne niebo i cudowne słońce.

Trudno nie przyznać się, że byliśmy wszyscy wzruszeni i podnieceni — niewątpliwie to było przyczyną kilku postojów po drodze dla wypoczynku, chociaż do Żywca jest tylko około 50 km. Wiedzieliśmy z gazet, że w Żywcu tamtejsze społeczeństwo pragnie nas powitać i że poczyniono już pewne przygotowania — z tem była największa trudność, nie wypadało bowiem być witanym przez nikogo, zanim nie zameldujemy się u Pana Marszałka. Poza tem, biorąc pod uwagę entuzjazm pochallenge'owy, mogliśmy żywić słuszną obawę, czy zdążymy na czas do Moszczenicy.

Zatrzymaliśmy się o 3 klm. przed Żywcem, a kiedy pierwszy samochód wysłany na zwiady przywiózł wiadomość, że Żywiec jest zupełnie pusty, bo wszyscy mieszkańcy czekają na lotnisku, ruszyliśmy dalej. Dojeżdżamy do Moszczenicy, skrytej wśród pagórków. Zdaleka widać bramę wjazdową szeroko otwartą i poprzez zielen otaczającego parku bielejące ściany małego dworku.

To tutaj za chwilę zameldujemy się u Pana Marszałka. Mijamy obok główną bramę, przy której nikogo nie widać i objeżdżając dwór dokoła szosą zajeżdżamy od strony oficyn, by nie robić hałasu motorami.

Dookoła cisza—dwór wydaje się jak gdyby uspiony; od strony oficyn, przy furtce prowadzącej do parku, wachmistrz żandarmerji na warcie. Wy-



Samotna przechadzka po parku

fot. mjr. Lepecki



siadamy. Przechodzimy przez park i za chwilę meldujemy się pułkownikowi Strzeleckiemu. Następnie, witani gościnnie przez płk. W. doprowadzamy swój wygląd do porządku po podróży. Wszędzie uderza nadzwyczajna skromność i prostota — z otoczenia jest tylko płk. S., W., pani dr. D., kpt. L. Ze służby 3-ch ordynansów i telefonista. Z każdego ruchu i spojrzenia obecnych odczuwa się dla Tego, który tu mieszka głęboką cześć bez cienia jakiegś uniżoności. Widać, że wszystko jest urządzone tak, by Pan Marszałek miał zupełny spokój i wypoczynek.

Mamy około godziny czasu, bo Pan Marszałek dopiero wstał — płk. S. decyduje wobec tego, że pojedziemy na lotnisko, by nie robić zawodu tym, którzy czekają tam na nas. Jedziemy samochodem osobistym Pana Marszałka. Wszystko odbywa się na lotnisku błyskawicznie: powitanie przez pana Starostę, kwiaty, kilka podpisów dla dzieci i—wracamy.

Pan Marszałek jest teraz na śniadaniu i za kilka chwil wezwie nas na górę. W oczekiwaniu, siedzimy w saloniku na dole, gdzie czasem po obiedzie Pan Marszałek przesiaduje i rozmawiamy swobodnie. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, otwierają się drzwi — jasno szary mundur Marszałkowski — i Pan Marszałek wolno wchodzi do pokoju. Zrywamy się i stajemy w postawie służbowej — nie mam nawet czasu przyjrzeć się postaci Pana Marszałka; melduje się płk. pil. Lewandowski — za nim kolejno — ja. Z pod krzaczastych brwi patrzą na mnie jasno-niebieskie oczy — spojrzenie badawcze i poważne, twarz skupiona, jak zwykle u dowódcy przyjmującego meldunek podwładnego.

W trakcie meldowania się, wyraz twarzy Pana Marszałka łagodnieje, z oczu patrzących prosto bije niezwykła dobroć, która dodaje nam otuchy.

Kiedy skończyła się prezentacja, Pan Marszałek nie witając przechodzi obok patrząc na nas z boku i nagle pada w naszą stronę nieoczekiwane zapytanie żartobliwe: „A có-

żecie tak obaj nie wyrosli?—tacy obaj mali!” Pan Marszałek przygląda się nam z zaciekawieniem uśmiechnięty i powolny.

— „Panie Marszałku, melduję, że nie zmieścilibyśmy się inaczej do samolotu” odpowiadam ośmieszony wyrazem twarzy Pana Marszałka, który się uśmiechnął na tę odpowiedź. „Tacy obaj mali” powtarza — poczem podchodzi do nas i bierze nas rękoma za pasy ustawiając jednego obok drugiego. „Tacy mali — jeden i drugi, i jednakowi”, mówi przyglądając się poczem podchodzi do stołu, siada w fotelu i wskazuje nam miejsce ręką.

Siadamy. Wszyscy pozostali stoją. Pan Marszałek patrzy na nas zamyślony, poczem mówi do pułkownika S., kawalerzysty wysokiego wzrostu: „Widzi pan, panie pułkowniku, — mówi wskazując na mnie — takich powinniśmy mieć w kawalerji; to najbardziej odpowiedni wzrost dla naszych koni — dla takich, jak pan nie mamy koni w Polsce. Niech pan wstanie kapitanie”. Staje — Pan Marszałek przygląda się chwilę, poczem daje znak bym usiadł. Pułkownik L. wyjaśnia, że służyłem w kawalerji w 1919 roku.

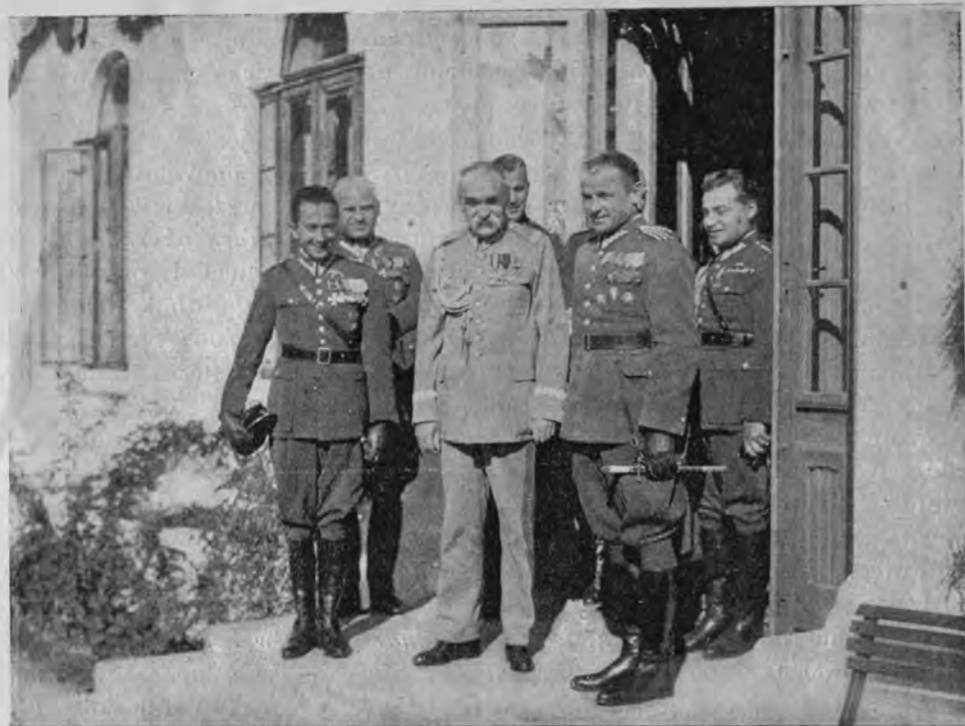
Pan Marszałek zapytuje o przebieg służby mój i st. sierż. Pokrzywki, który ma za sobą piękną kartę w dziejach słynnej Gwiaździstej eskadry.

— „Tacy mali — rzuca znowu Pan Marszałek—



Wielki Marszałek w czasie wypoczynku w Moszczenicy

fot. mjr. Lepecki



Marszałek Piłsudski w gronie oficerów na ganku dworu w Moszczenicy

no, ale udaliście się. Ja dostaję listy od krewnych, znajomych i wszyscy tylko o was piszą — cóżecie to wy narobili?

— „Panie marszałku — melduję — myśmy sami przerażeni się następstwami; nie przypuszczaliśmy, że to takie konsekwencje za sobą pociągnie”.

„Ja śledziłem wasz lot i doszedłem do wniosku, że musicie być staranni” — mówi Pan Marszałek.

Odpowiadam, że staramy się być nimi.

„Nie o to mi chodzi” — zwraca się Pan Marszałek do pułkownika L. — „Oni muszą być w codziennej pracy w pułku staranni?” Pułkownik L. potwierdza, jednak widocznie odpowiedzi te nie zadowolily Pana Marszałka bo wyjaśnia: „Ja to rozumiem, jako pewną staranność z natury, bo są typy ludzi starannych, którzy mają to już niejako we krwi i czego zmienić nie można. A w lotnictwie, tam gdzie człowiek powierza życie swojej maszynie, która sama w sobie jest uosobieniem precyzji i staranności, jako wytwór jego mózgu, — to człowiek ten, który się nią posługuje, musi być z natury starannym, bo przecież wszelkie przeoczenie przez niego, najdrobniejszej rzeczy, w tej maszynie sprowadza katastrofę. A więc, skoro w ciągu 2-ech tygodni zawodów przy tak dużym wysiłku fizycznym i nerwowym potrafiliście niczego nie przeoczyć, doszedłem do przekonania, że musicie

Marszałek tak podkreśla.

Pan Marszałek przygląda się nam. „No — tacy mali obaj” dodaje znowu i po chwili mówi: „Kiedy myślałem o postępach w lotnictwie naszym to byłem przekonany, że pilotów będziemy mieli dobrych — zawsze cechowała nas odwaga, duża brawura, ale przecież to nie wszystko. Pozostaje sprzęt, a tutaj, aby dorównać Zachodowi pod względem myśli konstrukcyjnej, to na to przecież trzeba lat. Z tego Challenge'u widać jednak, że i pod tym względem ma nasz Naród duże możliwości i że dość szybko idziemy naprzód”.

Pan Marszałek zapytuje w dalszym ciągu gdzie mieliśmy najgorszy lot; opowiadam o przejściach pod Bourdeau i na drodze do Zagrzebia.

— „Bardzo ładnie spisał się Giedgowd” — mówi Pan Marszałek — „że przyleciał pierwszy do Warszawy — wyprzedzając Niemców. To nawet nasz daleki krewny” — dodaje.

Pan Marszałek interesuje się się specjalnie lotem nad morzem i zapytuje na co patrzymy w czasie lotu, bo przecież niema dla wzroku stałego oparcia potrzebnego dla utrzymania równowagi. Ciekawe spostrzeżenie u człowieka, który o ile wiem nigdy nie latał.

Wyjaśniam, że przelot nad morzem jest właśnie z tego powodu nużący. Brak horyzontu, któ-

ry zlewa się zupełnie z błękitem, utrudnia ustalenie położenia równowagi samolotu i leci się, jak gdyby wewnątrz szklanej kuli. I rzeczywiście, jak mówi Pan Marszałek, trzeba patrzeć bezpośrednio wdół pod siebie, na powierzchnię wody albo na przyrządy. Pan Marszałek opowiada o swych podróżach morskich i o tem, że nigdy w czasie najbardziej burzliwego morza nawet nie miał objawów morskiej choroby.

„Wiele w życiu potrafiłem robić, ale tego nie mógłbym, jak mi się zdaje” — mówi Pan Marszałek. — „Jak wy możecie pracować w samolocie przy takim ogłuszającym warkocie silnika — jak możecie skupić myśli? Ja dla pracy muszę mieć zupełny spokój; najmniejszy hałas wyprawadza mnie z równowagi. tego bym zdaje się nie potrafił”.



W Moszczenicy

fol. mjr. Lepecki

Wydaję wam dzieci” i podaje nam rękę na pożegnanie.

Wyjaśniam na to, że rzeczywiście huk silnika, jakkolwiek jest miłą muzyką dla lotnika, bo świadczy o bezpieczeństwie lotu, nie pozwala na skupienie uwagi nad czemś ścisłym. Dlatego lot musi być przygotowany dokładnie na ziemi, bo wszelkie ścisłe kalkulacje w powietrzu są niesłychanie trudne. Siedzimy cały czas wszyscy uśmiechnięci — Pan Marszałek mówi wolno, w każdym zdaniu przebija się zupełnie konkretne ujęcie i zrozumienie spraw lotniczych. Widać jednak z twarzy Pana Marszałka, że jest zmęczony — dzisiaj wiemy, że to nietylko samo zmęczenie dawało ten wyraz.

Pan Marszałek wstaje — audjencja skończona. — Wstajemy i my. „No, dzielnieście się spisali — mówi — dziękuję wam dzieci” i podaje nam rękę na pożegnanie.

Takie były nasze uczucia później, że nie zdziwiłbym się gdyby się który z nas pomylił i wbrew subordynacji wojskowej ucałował tę rękę.

Pułkownik S. podchodzi i zapytuje, czy będzie można zrobić zdjęcie wspólne. — „No, naturalnie” — pozwala Pan Marszałek i wychodzimy na taras. Stajemy nieco w tyle za Panem Marszałkiem, który mówi do nas z uśmiechem — „stańcie bliżej, przecież to o was najbardziej chodzi”. Mamy uśmiechnięte twarze i tak nas łapie fotograf. Za chwilę Pan Marszałek wolno odchodzi wgląd mieszkania.

Zostajemy na obiedzie ze swiłą Pana Marszałka — honory domu robi Pani dr. D.; około godz. 6-iej odjeżdżamy żegnając się ze wszystkimi i wioząc ze sobą najpiękniejsze wspomnienia i świadomość, że wśród wszystkich radości nie było piękniejszych. Nie to, że byliśmy przyjęci przez Pana Marszałka, bo to był wielki zaszczyt, ale nagrodą było to, że potrafiliśmy wywołać na Jego twarzy taki wyraz zadowolenia i tak serdeczny uśmiech.





PISARZ I ARTYSTA

W dniu 12 maja słowo Józefa Piłsudskiego przemówi do milionów słuchaczy, zgromadzonych na żałobnych obchodach i uroczystościach urządzanych w całej Polsce ku czci Wielkiego Zmarłego.

Decyzją Naczelnego Komitetu, ograniczającą — w miarę możliwości — program uroczystych akademii wyłącznie do odczytania wybranych pism Marszałka należy uznać za wyjątkowo słuszną i przemyślaną.

Nie chodzi nam nawet tutaj o niedołączonych komentatorów, stwierdzających jaskrawo gorzką prawdę, jak małość nie rozumie Wielkości, ani o obłudę faryzeuszów, którą Zmarły biczował moralnie za życia, by po śmierci widzieć jak znów się bujnie pleni, czolgając się w nędznym pochlebstwie frazesu, noszonego na ustach, a nie — w sercu...

Cieszymy się, że słowo Piłsudskiego, niemniej natknięte niż słowa Mickiewicza z „Książ Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego”, odezwie się spoza „bram śmierci przepastnych”, by dać świadectwo wielkiej prawdzie, że „są ludzie i są prace ludzkie tak wielkie i tak potężne, że śmierć przewyciężają, że żyją i obcują między nami”.

Nie ludźmy się, że w społeczeństwie polskim ugruntowała się dostatecznie prawda o pracy Wielkiego Człowieka, tembardziej, iż ci, co pragnęli ją tłumaczyć i komentować wielokrotnie niedorośli do tego niełatwego zadania.

Widząc w pracy Piłsudskiego przedewszystkiem efekt czynu, efekt bezpośredniego działania, nie usiłowano częstokroć wyszukiwać najgłębszych tej pracy źródeł moralnych i ideowych.

Gdzież więc można szukać możliwie pełnego sformułowania tego, cośmy zwykli nazywać „ideologią Piłsudskiego”?

Sądźmy, iż przedewszystkiem w bezpośrednich wypowiedziach Zmarłego. I dlatego właśnie skłonni jesteśmy przypisywać wyjątkową wagę jaknajszerszemu rozpowszechnieniu pism Piłsudskiego na których kartach wypowiedział się On w sposób najbardziej szczerzy i — jak zawsze — bezkompromisowy.

Możliwe, iż znaczenie dziejowe Piłsudskiego nie doznałoby żadnego uszczuplenia, nawet, gdyby nie pozostało po Nim ani jednej karty papieru, pokrytej jego pismem.

Jesteśmy jednak w tem szczęśliwym położeniu, iż Piłsudski pozostawił po sobie obfitą spuściznę pisarską. W niej też możemy doszukiwać się tego testamentu, który Zmarły przekazał całej Polsce do wypełnienia.

W pismach Piłsudskiego możemy odnaleźć pełny obraz Jego rzeczywistej ideologii, nie spalonej ani nie zaciemnionej.

Znajomość pism Wielkiego Człowieka jest w naszym społeczeństwie — wyznajmy szczerze — znikoma.

Dzieje się tutaj podobnie jak z Mickiewiczem czy Słowackim. Przeciętny obywatel potrafi zadeklamować parę bardziej spopularyzowanych cytatów i na tem koniec.

O ile chodzi o Piłsudskiego, to brzmią nam w uszach jakieś najczęściej powtarzane aforyzmy i zdania, wydarte z całości tekstu, a nigdy nie mogące zastąpić jego pełnej znajomości.

Jesteśmy wprawdzie ostatnio świadkami czynienia na tem polu pewnych wysiłków, ale niestety stanowczo nie wystarczających.

Urywki z pism podaje w pewnych oznaczonych dniach radio, odgrywając tutaj doniosłą rolę nie w szerzeniu powierzchownego kultu Piłsudskiego, ale w rzeczywistym ułatwianiu wszystkim obywatelom zrozumienia idei i czynu Zmarłego.

Nie dyskutowanie o wartości pism Piłsudskiego jako umożliwiających i ułatwiających zrozumienia Jego idei ma być jednak właściwym tematem artykułu.

Pragniemy na tem miejscu zwrócić uwagę naszych czytelników na fakt wybitnej doniosłości, pomijany zazwyczaj przy omawianiu dzieła pisarskiego Marszałka.

Mamy tutaj na myśli artyzm formy, cechujący twórczość Piłsudskiego. Mówiąc „forma” nie mamy tutaj zamiaru wdawania się w specjalne rozważania na temat jej związku z treścią. Uważamy bowiem za ugruntowaną rzeczywistość, że forma powstaje z treści, będąc ciągle procesem jej rozrastania się w coraz szersze kręgi świadomości.

Nie chcemy się też bawić w subtelne dociekania natury estetycznej. Chodzi nam tutaj raczej o zwrócenie uwagi na fakt, że Piłsudski reprezentował w swej twórczości tyle walorów czystego ar-



tyzmu, iż zagadnienie to zasługuje w całej pełni na specjalne podkreślenie.

Mówiąc o Piłsudskim jako artyście zdajemy sobie sprawę, że nie ta właściwość jego geniuszu jest tytułem do nieśmiertelnej sławy.

Tworząc jednak, względnie usiłując wytworzyć sobie możliwie pełny obraz osobowości psychicznej Piłsudskiego nie można pomijać żadnych właściwości ani cech charakterystycznych, które w sumie złożyły się na jednostkę genialną.

Niemożliwością jest zaliczenie Piłsudskiego do którejkolwiek z konwencjonalnych klas czy przypisania Mu właściwości określonego typu twórczości pisarskiej. Dzieje się tutaj podobnie jak i z Jego życiem, tak różnym od schematu życia innych ludzi wielkich i zasługujących nawet na specjalne wyróżnienie.

Piłsudski — na co się wszyscy godzą — był urodzonym pisarzem, mimo, iż pióro do ręki wkładał mu niemal wyłącznie konieczność.

Najprostszym sklasyfikowaniem rodzaju twórczości Zmarłego byłoby zaliczenie Go w poczet pisarzy politycznych. A jednak praca pisarska Piłsudskiego przekroczyła znacznie ramy dziejopisarstwa i polityki. Znajdowało się w niej niejednokrotnie miejsce na klasyczną epikę i subtelny liryzm, na oderwane nieraz pozornie od właściwego tematu dygresje i refleksje o czysto artystycznym charakterze.

Dziwnie wymowny jest rozwój twórczości pisarskiej Piłsudskiego. Pierwocin jej należy szukać w społecznej i politycznej publicystyce, w odezwach do społeczeństwa i artykułach „Robotnika”.

Już wówczas ujawniły się charakterystyczne właściwości pióra Piłsudskiego. A więc przede wszystkim obok logiki i siły argumentacji doskonała forma stylistyczna, nosząca na sobie jednocześnie znamiona improwizacji.

Liczne spośród późniejszych przemówień Piłsudskiego doszły do nas w formie dokładnych stenogramów. Porównanie ich z tekstami artykułów czy książek pisarza pozwala na stwierdzenie, że Piłsudski posiadał niezwykle zdolność formułowania myśli na piśmie.

W Jego pracy pisarskiej nie widać nigdy żadnej sztuczności. Dlatego też każdy artykuł sprawia wrażenie tak doskonale przemawiającej do czytelnika bezpośrednio.

Działalność publicysty i pisarza politycznego spłotła się w potężną całość, w której lśnią liczne perły czystej liryki artystycznej.

Cechuje Piłsudskiego przedziwnie sugestywny rytm prozy, tak charakterystyczny dla wielkiego pisarza. Twórczość Jego, nosząca naogół charakter epiczny, pogłębiona jest licznymi dygresjami lirycznymi, w których wypowiedała się chętnie subtelna psychika autora.

Piłsudski jest mistrzem nastroju. Umie go wywoływać efektami pozornie prostymi, posługując się nimi z pełną swobodą i wdziękiem.

W malowaniu barwnych obrazków epickich, zwłaszcza związanych z bojami legionowymi, wykazał Piłsudski pierwszorzędne walory epika—batalisty. Opisując bitwę tworzy jej opis ogólny, daje pełną syntezę nie tracąc jednocześnie dynamiki rozwoju poszczególnych momentów. Nad



Przy ulubionej szklance herbaty.



rzeczami błahemi z pisarskiego punktu widzenia umie Piłsudski przejść do porządku dziennego. Przed Jego bystrym wzrokiem nie schowa się jednak żaden interesujący i barwny szczegół, który da się wykorzystać logicznie i artystycznie.

Jednym z podstawowych warunków prawdziwej i zasługującej na uwagę twórczości jest znajomość psychiki ludzkiej. Właściwość tę posiadał Piłsudski w stopniu zdumiewającym. Była Mu ona pomocna w realizowaniu koncepcyj wodzowskich i występuje wyraźnie na kartach pism.

Mówiąc, z konieczności bardzo ogólnie, o artyzmie Piłsudskiego jako pisarza nie możemy pominąć wpływu Jego Mistrza — Juliusza Słowackiego. Problem oddziaływania poety na Wodza wzrasta do rzędu zagadnień kapitałnych, rzucających niezwykle wiele charakterystycznego światła na psychikę Piłsudskiego, jako męża stanu, wodza i wreszcie artysty.

Kult, jaki Wódz żywił dla poety ma swoje źródło nie tylko w tem, że Słowacki był najznakomitszym — obok Mickiewicza — nauczycielem polskości. Chodziło tutaj i o oddziaływanie czaru słowa poety.

Piłsudski był wyjątkowo wrażliwy na wszelkie przejawy piękna. Nie mógł też pozostać obojętny wobec uroku i zniewalającej mocy słowa wielkiego poety.

W prozie Piłsudskiego możemy odnaleźć te same składowe elementy wzruszeń, co i w poezji Słowackiego. Nienadarmo cytaty z niego znajdujemy nie tylko w publicystyce społecznej i politycznej, ale i w rozkazach pisanych do wojska na polu bitew.

Najdoskonalszym może arcydziełem związania głębi myśli z artyzmem wypowiedzenia jest też przemówienie na Wawelu nad trumną Słowackiego.

Będąc samemu artystą doceniał Piłsudski olbrzymie znaczenie sztuki w życiu ludzkim.

W odczycie o wartości żołnierza Legionów mówił: „Poszło przedewszystkiem za nami (Legjo-

nami) to, co jest najpiękniejsze w kulturze ludzkiej — poszła sztuka. Moi panowie, poezja twórcza uderzy do tych dziedzin ducha, które, mówiąc słowami Słowackiego, „owijają się, jak bluszcz koło dębu”, owijają się, jak bluszcz koło wielkiego wysiłku ludzkiego. Im większy wysiłek, im większa praca ducha ludzkiego, tem silniej szuka poezja i sztuka dla swej twórczości motywów z tego niczemnego życia...”

Różnorodność form wypowiedzi Piłsudskiego musi budzić najgłębszy podziw. Obok poważnych i doskonale zbudowanych dzieł politycznych i historycznych znajdujemy tak czarujące rzeczy jak np. słynna „bajka o żabie”. Pozornie — śliczna bajeczka dla dzieci, obleczone w niezwykle oryginalną szatę słowną. W rzeczywistości kryje ona w sobie prawdziwe skarby aryzmu, stanowiąc prawdziwy majstersztyk narracji. Albo taka perła liryki opisowej, jak prześliczne słowa wpisane w złotej księdze Druskiennik.

Problem filologiczny, leżący u podstaw aryzmu słowa, interesował zawsze żywo Piłsudskiego. Wyraz tego znajdujemy np. w rozważaniach nad uczuciowym zabarwieniem słowa „miły”, nad czem długo zastanawiał się Marszałek w przemówieniu na zjeździe legionistów w Wilnie w r. 1928.

Pozornie — sprawa błaha, lecz urastająca w interpretacji do zagadnienia symbolu wieku i czasu.

Na pismach Piłsudskiego możemy nie tylko uczyć się i wychowywać. Stanowią one bowiem jednocześnie żywy przykład doskonałego opanowania formy i jej artystycznego związania z treścią, co zawsze jest głównym probierzem prawdziwej sztuki.

Lektura dzieł Marszałka pozwoli nam więc na zapoznanie się nie tylko z głębią ideologii Wielkiego Wychowawcy, ale i ukaże nam oblicze Wielkiego Pisarza i Artysty.

Pchor. St. Kostka.



BYŁ MAJ...

Maj. Najcudowniejszy miesiąc w roku. Miesiąc słońca, kwiatów, miłości. Jan włókł się powoli przez zalane słońcem planty, myśl jego pracowała ciężko. Co chwila przystawał, nawet usiłował uśmiechać się do rozbawionych dzieci. Starał się nie myśleć, patrzył szeroko otwartymi oczami, a nie odróżniał nikogo w tłumie. Przed kilku dniami otrzymał odmowną odpowiedź na podanie o posadę, wniesione przed dwoma laty. Miał lat 20-ścia i dwa lata czekał. Przeczekał już dwie wiosny, w trzecią właśnie przyszła odmowa. Jan jest sam, niema nikogo, komu by mógł powierzyć swe zmartwienia. Wszyscy młodzi tak samo, jak Jan czekają. Tylko jedni chodzą na uniwersytet, a drudzy, tak jak on siedzą na plantach. Dlaczego tak jest? Jan spogląda na swe mocne ręce, które wiele mogłyby zrobić. W głowie czuje szum. Może to głód, albo myśl niedobra, uporzyciwe wierci, kotuje. Jan wspomina. — W zimie miał jeszcze tyle ochoty do życia, rwał się do niego. Nieraz w zimnym pokoju siedział wieczorem z matką przy oknie i w świetle latarni szeptał w jej uszy tysiączne projekty i plany. Dziś Jej niema. Odeszła w cichy, roziskrzony mrozem wieczór. Jan chodzi do niej często daleko na cmentarz, ale to nie to, co dawniej.

Rumiany chłopczyk z obręczą przebiegał obok ławki Jana. W oczach świeciły mu iskry radości. Jan przypomniał sobie, że i on był kiedyś takim roześmianym bębnem. A dziś? Podniósł się ocię-

żale z ławki i podążył do rynku. Gdy zmieszał się z tłumem uderzył go ruch niezwykle, zobaczył twarze rozgorączkowane, to znów niezwykle blade. Momentalnie przypomniał sobie, zastysznaną rankiem wiadomość „Marszałek Piłsudski nie żyje”. Janowi zrobiło się wstyd. Całe rano poświęcił sobie, kiedy wszyscy ludzie o jednym tylko mówili i myśleli. Po stracie matki nie był już zdolny odczuwać bólu, ale zainteresował się. Przypomniał sobie, że widział raz Marszałka w czasie Święta Kawalerji. Zdaleka mignęła mu siwa pochylona postać. Twarzy nie widział. Nie miał pieniędzy na bilet wstępu na trybunę. Teraz na ulicy spotykał wielu ludzi, przeważnie w wojskowych mundurach. W oczach ich widać było ból. Janowi przyszło na myśl, że może i on niedługo — za rok będzie żołnierzem. Przyspieszył kroku. Po chwili znalazł się w atelier fotograficznym, starego znajomego ojca. Chodził tam od czasu do czasu, dziś chciał obejrzeć fotografie Zmarłego.

U fotografa wrzał gorączkowy ruch. Pomocnicy biegali po pracowni, starsuszek siedział pochylony nad stołem i w skupieniu przypatrywał się fotografii. Na Jana nikt nie zwrócił uwagi. Przysiadł się do stołu, brał jedno zdjęcie po drugim i patrzył. Na pierwszym widział młodego, uśmiechniętego Komendanta, w legionowej maciejówce, gdy pieszczotliwie przybliżał twarz do kasztanki, — drugie zdjęcie z okopów, Komendant na pozycji —



Pomnik i mogiły żołnierskie na cmentarzu wileńskim na Rosnie.



twarz Wodza poważna, skupiona. Potem w domu u siebie z Wandzią i Jagódką, i wiele, wiele innych. Jan nie mógł oczu oderwać. Ze zdumieniem oglądał tę samą twarz, jakże za każdym razem inną. Drgnął. Pierwszy raz od pogrzebu matki serce jego pochwycił skurcz, jakby bólu. Teraz zrozumiał, dlaczego ludzie płaczą. Jan wziął do ręki ostatnią fotografię. Wyjrzała z niej ku niemu znękana twarz człowieka, który wiele w życiu przeszedł. To zdjęcie z pogrzebu siostry Marszałka. Janowi ścisnęło się serce na myśl, że już nigdy nie będzie upatrywał w tłumie siwego munduru. Pierwszy raz dzisiaj zapragnął myśleć, robić coś, w jakikolwiek sposób wyrazić to, co czuła cała Polska i on dwudziestoletni bezrobotny.

Stary fotograf postanowił wystawić w gablotce na rynku fotografię Marszałka. Naradzał się z pomocnikami, co do artystycznego ich rozmieszczenia. Jan słuchał. W pewnej chwili nieśmiało odezwał się, że najlepiej byłoby w pustej, białej gablotce umieścić jedno tylko właśnie ostatnie zdjęcie. „Po lewej stronie fotografii przypniemy gałązkę tarniny i wawrzynu i będzie bardzo ładnie“. Staruszek przyjrzał się Janowi uważnie. W pewnej chwili oczy ich spotkały się i porozumiały. Te same serce stare i młode. Pomocnicy odsunęli się z niechęcią. Kombinowali niezwykły fotomontaż, a tu tymczasem laury i ciernie!

Jan ze staruszką sami wieczorem urządzili gablotkę. Jan żył, w gorączce. Coś się w nim przetamało.

Na drugi dzień zerwał się wcześniej z postania i ruszył pod gablotkę. Z za szkła popatrzył na niego dobre, smutne oczy. W ciągu dnia chodził koło niej setki razy, przystawał i starał się sam swą myśl zrozumieć. Laury i ciernie. — Ludzie wokół szeptali. Nie słychać było głośnych rozmów. Stawali, patrzyli i odchodzili bez słowa. A po drugiej stronie ulicy, pod obrazem mistrza Kossaka, przedstawiającym powitanie Marszałka przez Kościuszkę na schodach katedry wawelskiej rojno było i gwaro. Ludzie głośno zachwycali się lub krytykowali.

A gdy za parę dni salwy armatnie żegnały Wodza, gdy cała Polska strojna i świetna przyszła Mu się ostatni raz pokłonić, Jan widział już cel swego życia. Polska potrzebuje żołnierzy. Może go przyjmą w szeregi, które Wódz tak kochał! Z trudem przecisnął się do srebrnej trumny. I zdawało się Janowi, gdy myślą wypowiadał słowa przysięgi wierności, że marsowa twarz Zmarłego rozjaśniła się, a przypięty na piersi krzyż *Virtuti Militari* błysnął nowym, nieznanym ogniem.

S. P. Sanit.

pchor. S. Hommé



WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO-OŚWIATOWEGO

REDAKTOR: TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI ■ Druk. „Społeczna”, tel. 205-80. ■ REDAKCJA: WARSZAWA, SMOLNA 26/28.

